(PAT) POLSKA AGENCJA TELEGRAFICZNA
(OFICJALNA POLSKA AGENCJA PRASOWA)
50 ROCKEFELLER PLAZA, NEW YORK 20, N. Y.
BIULETYN POLSKI

Nr. 17/171 6 października, 1943

JANEK BEZNOGI

Londyn, PAT, w październiku

Przerażenie poderwało go ze snu. Gorączkowo sięgnął po kostur i opuścił jedyną swą nogę na ziemię. Teraz dopiero oprzytomniał i począł rozglądać się po cichej izdebce, ktorej szyby znaczyły się już mglistą szarością poranka. Z uczuciem prawdziwej ulgi stwierdził, że stołek szewcki z miejsca nie drgnął - przecież to najważniejsze, bo w stołku jest ukryta prasa drukarska.

Zupełnie już rozbudzony, zaczął zastanawiać się: wszystko w porządku, cóż więc go tak nagle przeraziło? Usłyszał dalekie ale wyraźne dźwięki uderzeń młotkiem w ścianę. Wydało mu się to tembardziej zadziwiające i nawet niepokojące, że na całej uliczce nie było więcej murowanych domów, a i z tego, gdzie on sam teraz mieszkał, ocalała tylko suteryna, bo dwa gorne piętra rozwaliła bomba.

Narzucił palto i, ostrożnie stąpając, wyszedł do sieni, skąd wydostał się na podwórze, aż w końcu udało mu się dotrzeć aż do bramy. Zobaczył opartą o resztki sterczącego muru, drabinę, na ktorej górnym szczeblu stał jakiś Niemiec w mundurze i coś przybijał. Właśnie przykładał do ściany dużą tabliczkę, ale równocześnie, wskutek niezręcznego ruchu, inna blacha wysunęła mu się z pod ramienia, wydając ostry dźwięk przy spadaniu na ziemię.

Pochylił się nad blaszaną tabliczką, której napis bielił się pomiędzy błotem i gruzami. Z bólem w sercu, z gniewem w duszy, ze zgrozą w oczach odczytał część napisu "... KWIETNIA" - przecież to nazwa jego ulicy rzucana była pomiędzy śmiecie.

Na tej ulicy urodził się, spędził na niej całe swoje bezradosne dzieciństwo - a kiedy, już jako kilkunastoletni roznosiciel gazet, stracił nogę, wpadając pod tramwaj, ta ulica stała się jego światem.

Musiał zmienić wskutek swojego kalectwa fach - został szewczykiem. Czasu miał teraz więcej i możności, aby rozmyślać. Dziwnym torem potoczyły się te jego mysli. Wyobraźnia Janka zaludniła pustą izdebkę i nawet uliczkę całą postaciami z "Kalendarza Niedzielnego" - postaciami, o ktorych się dowiedział z tego kalendarza i ktore nad wszystko pokochał. Więc pędził przez uliczkę Książę Józef na wspaniałym rumaku - pędził w błyszczącym mundurze, otoczony wspaniałymi rycerzami. Więc idzie żwawym krokiem przez ulicę Kiliński, ubrany w czerwoną rogatywkę, trzymając rękę na głowni srebrzystej szabli - zatrzymuje się przed Jankiem, siedzącym u progu warsztatu, i mówi: "My, bracie, jestesmy obaj szewcy i, kiedy trzeba będzie, obaj umrzemy za naszą ziemię..."

Taka to była niegdyś jego uliczka - pełna czaru i piękna. Zniszczona i bombami zburzona nie straciła dla niego nic z uroku swojego - stała mu się nawet jeszcze droższą i bliższą. A teraz ma nazywać się: "Hitler-Strasse". Jankowi serce ściska się z głębokiego żalu.

W międzyczasie ścichły uderzenia młotka. Niemiec, po przybiciu tablicy, zszedł z drabiny, stanął na ziemi i przyglądał się swojemu dziełu, ocierając chustką pot na głowie. Janek przypatrywał się z wzrastającą wściekłością grubemu karkowi Niemca i ogolonej głowie. Spojrzał raz jeszcze na tabliczkę z napisem "Hitler-Strasse". Nowa fala szalonego gniewu napłynęła mu do mózgu - zamachnął się ciężkim kosturem i z całych sił kropnął nim w odkryty łeb Niemca...

Kiedy nazajutrz, wczesnym rankiem wpadli do izdebki, Janek siedział spokojnie przy warsztacie, łatając schodzone obuwie, które ludziska przynosili mu do naprawy. W kominku leżała garść popiołów - jedyny ślad starannie zniszczonych papierów tajnych - i dopalał się jego skrwawiony kostur.

Dopytywali się Janka, bili go, przewracali mu i łamali wszystkie sprzęty, poczem znów katowali, starając się wydostać zeznanie. Widząc jednak jego kalectwo, nawet laską nie podparte, zaniechali w końcu badań. Wyszli, pozostawiając Janka okrutnie zbitego i okrwawionego. A on, kiedy został już sam, otarł wierzchem dłoni skrwawioną twarz i wrócił do roboty. Tylko na opuchniętych jego ustach pojawił się dziwny, tajemniczo zawzięty uśmiech. Spojrzał na portret Kilińskiego, wycięty z Kalendarza i zdobiący ścianę izdebki - mrugnął do niego porozumiewawczo: "My, bracie, jesteśmy obaj szewcy i, kiedy trzeba będzie, obaj umrzemy za naszą ziemię...", powtarzając sobie słowa, które mu kiedyś podyktowała własna jego wyobraźnia.

Na ulicach miasteczka pojawiły się tego dnia żałobne obwieszczenia: "Hans Mueller...zginął na posterunku za Fuehrera i za niemiecki Vaterland...". A tuż obok widniało inne obwieszczenie, pełne najokropniejszych pogróżek i bezsilnej wściekłości. Miasteczko zalała nowa fala jeszcze gorszego terroru, podszytego śmiertelnym strachem.

Podobno beznogi Janek sprawił sobie mocną laskę dębową, z którą nie rozstaje się nigdy.

/Janina Wyciechowska/

WYPRAWA PO NASZYWKI WOJSKOWE "POLAND"

Długo musiał Roman J. nawędrować się po świecie szerokim, nienal całą półkulę ziemską musiał objechać i opłynąć, zanim udało mu się osiągnąć cel swoich marzeń: włożyć "battle-dress" z naszywką "Poland"

Roman - chłop na schwał, rodem z Bydgoszczy - jest z zawodu marynarzem i w r. 1938 był stewardem na pokładzie statku "Elemka", nabytego z licytacji przez niemiecką marynarkę handlową wskutek zatargu prawnego i w myśl decyzji władz portowych Królewca. Roman wstępuje na służbę do "Hamburg-America Line", jako steward okrętu płynącego do Valparaiso. Nie zagrzał tam jednak miejsca, bo "za dużo było na statku "Heil Hitler!" jak wymownie sam tłomaczy. Pozostał więc w Chile, pracując w swoim zawodzie aż do wybuchu wojny. Roman udaje się natychmiast do polskiego konsulatu i zgłasza się na ochotnika do wojska. I tu dopiero przekonał się, że nie jest rzeczą łatwą dostać się istotnie do armii.

Zaczęło się od podróży z Santiago da Chile do Buenos Aires. Podczas długiej przeprawy zajął się nauczaniem polskiego dwuch swoich przygodnych towarzyszów podróży - dwuch młodych Litwinów, również dobrowolnych kandydatów na żołnierzy polskich, ale nie władających językiem polskim. Stamtąd wiele musiał się nawędrować z transportem, zanim dopłynął do Wielkiej Brytanii. Po drodze odbyli postój w Nowym Yorku. Dobrze im się działo - pobyt tam wspomina Roman z nadzwyczajną przyjemnością, bo w Nowym Yorku znaleźli się pod aż potrójną opieką: Anglików z okrętu, nowojorskich Amerykanów i, zwłaszcza, Polonii Amerykańskiej. Zaznali gościnności tak serdecznej, że dziś jeszcze mówi o niej z wzruszeniem: "Polacy tamtejsi wprost kłócili się o nas, goszcząc nas na wyścigi - nawet prawdziwe papierosy polskie paliliśmy u nich..."

Dziś Roman J. paraduje dumnie w mundurze wojskowym z naszywką "Poland". Ale po cichu przyznaje się, że coś go jednak martwi: właściwie marzył o dostaniu się do marynarki wojennej, okazało się wszakże, że jest o kilka lat za stary już. Chciał zaś dlatego służyć w marynarce, że Pomarzanin z Bydgoszczy, Roman J, "nietylko lubi Gdynię, ale ją wprost kocha", więc wolałby powracać do Polski na polskim okręcie przez polski port...